

MAŁGORZATA MATWIJ

BRAKUJĄCE
OgniwO



————— Małgorzata Matwij —————

BRAKUJĄCE OGNIWO

dla•czemu

—————

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Natalia Wielogórska

Redaktor prowadzący: Natalia Wielogórska

Redakcja: Magdalena Białek

Korekta językowa: Edyta Patrzałek

Projekt okładki: Agnieszka Zawadka

Skład i łamanie: Anna Nachowska | PracowniaKsiazki.pl

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Warszawa 2023

Wydanie I

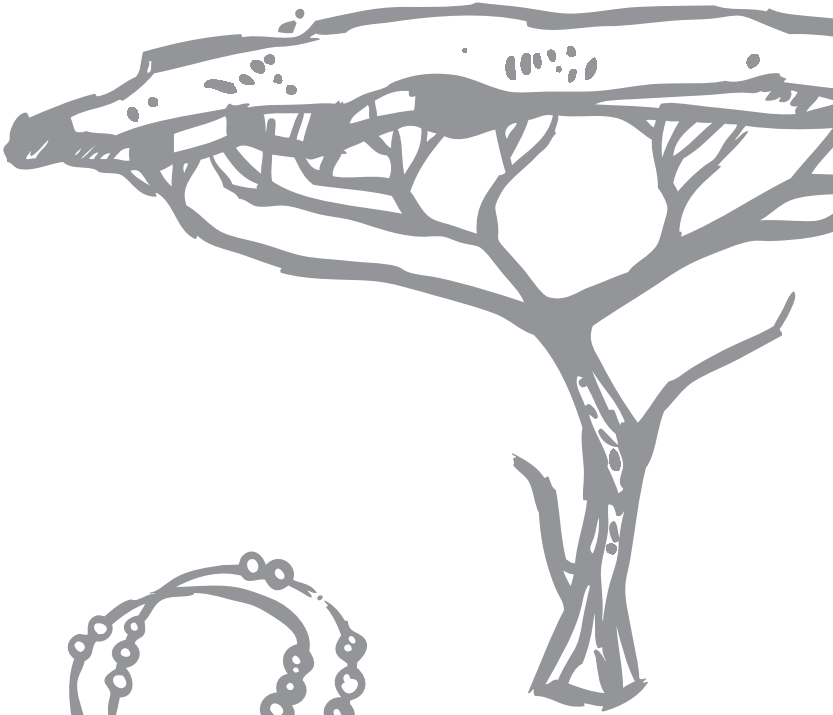
ISBN papier: 978-83-67691-70-3

ISBN e-book: 978-83-67691-71-0

Zapraszamy księgarnie i biblioteki
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

✉ kontakt@dlaczemu.pl



Biegła ciemną, zakurzoną ulicą, potykała się o wystające kamienie, upadała i wstawiała resztkami sił. Obdarte kolana piekły i krwawiły. Uliczka była tak wąska, że kobieta mogła opierać dłonie o ściany domów mieszkalnych rozstawionych po obu jej stronach. Goniła resztkami sił, do cna wyczerpana, z trudem łapała oddech. Nie wiedziała nawet, dokąd prowadzi droga, nie znała tego miejsca. Wiedziała tylko jedno: musi jak najszybciej uciekać. Z daleka słyszała głosy goniących ją mężczyzn. Ciemność, którą przeklinała, stała się jej wybawieniem.

Przystanąła za załamaniem muru, by uspokoić bijące serce. Waliło tak, że ścigający chyba mogli je usłyszeć... A może to bębny? Ale skąd bębny? Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest ani dlaczego ucieka. Końcówki krótkich rudawych włosów pozlepianych od brudu nieprzyjemnie kleiły się do karku. Sukienka o nieodgadnionym kolorze i rozdartych szwach lepiła się jej do pleców, czuła odór swojego przepoczonego ciała, ale nie to było najważniejsze.

Powiedział jej, by znalazła kobietę z czerwonymi warkoczykami, tylko tyle, nic więcej, a ona nie wiedziała, gdzie jej szukać. Zaczęła ogarniać ją panika. Nagle usłyszała za sobą szelest i ciche warczenie. Obróciła się i zobaczyła jedynie błyszczące oczy i białe zęby psa. Cała reszta tonęła w ciemności. Zaczęła cofać się powoli. Wiedziała, że nie ma szans uciec przed tą bestią. Gdzieś zza chmur wychynął księżyc

i oświetlił zwierzę. Z jego pyska kapłała ślina, ale nie wiedziała, czy ze zmęczenia, czy był po prostu wściekły. Dlaczego ten pies się na nią czaił?

Nie wiedziała, co jest przed nią, bała się, że się potknie i przewróci, a wtedy bestia dopadnie ją jednym susem i zatopi w niej swoje ostre jak brzytwy kły. Była wyczerpana do granic wytrzymałości. Warczenie psa przybierało na sile. Podjęła decyzję, odwróciła się i puściła biegiem, ile sił w nogach, stawiając wszystko na jedną kartę. Potknęła się, przewróciła kolejny raz, wstała ponownie, biegła dalej. Nie oglądała się za siebie, szkoda było czasu. Jeśli zwierzę ją dopadnie i tak będzie po niej, ale dopóki ucieka, dopóty jest cień nadziei, smuga szansy.

Gdzieś przed nią mignęła biała suknia. To chyba *boubou*, miejscowy tradycyjny męski strój. Nie wiedziała, kto to, miała tylko nadzieję, że nie jej oprawcy; oni byli ubrani zupełnie inaczej. Wyciągnęła rękę w błagalnym geście i próbowała wezwać pomoc, ale głos uwiązł jej w gardle. Nie miała siły. Jej nogi były coraz bardziej ociężałe, jakby z każdym krokiem ktoś nakładał na nie kolejne ołowiane obręcze. Miała wrażenie, że wszystko to jakiś film w zwolnionym tempie. Widziała swoją wyciągniętą dłoń, oddalającego się mężczyznę, a za sobą słyszała wściekle warczenie psa. Czuła, że śmierć zbliża się wielkimi krokami.

Nagle ktoś mocno chwycił ją za rękę i pociągnął do siebie. Spojrzała i zobaczyła kobietę, która miała na głowie wielobarwną chustę zwiniętą w turban. Oczy kobiety patrzyły na nią przyjaźnie i już wiedziała, że będzie dobrze. Poczowała, że wszystko odpłynęło, cały strach i zmęczenie. Kobieta coś do niej mówiła, ale ona nie mogła zrozumieć jej słów. Wy tężała słuch, ale bębny zagłuszały każdy inny dźwięk. Skąd

te bębny? – pomyślała i w tym momencie otworzyła oczy. Patrzyła w ciemność i miała wrażenie, że widzi wpatrzone w nią ciemne oczy Tomsy’ego.

Przez chwilę leżała bez ruchu, nasłuchując nocnej ciszy. Lekki powiew unosił firankę, bielejącą w księżycowym świetle wpadającym przez uchylone okno. Z ulicy dobiegł łoskot przejeżdżającej śmieciarki.

Zacisnęła dłonie na kołdrze. Jest okej – pomyślała, czując pod wilgotnymi od potu palcami gładki chłód satynowej pościeli. Była w swoim domu, a to wszystko tylko sen, który co jakiś czas ją nawiedzał. Zawsze było tak samo: uciekała. I zawsze ratowała ją ta sama miła kobieta w pięknym kolorowym turbanie na głowie, wpatrzone w nią jak w obrazek.

Co chwilę sprawdzała komórkę, wypatrując jakiegokolwiek wiadomości od Tomsy’ego. Od tygodnia nie dostała od niego żadnej informacji, targały nią złe przeczucia. Ostatnio, kiedy rozmawiali, chłopak nie czuł się dobrze. Był pokiereszowany i potrzebował pieniędzy na lekarstwa. Anna nie miała oszczędności, by mu pomóc. Czy Tomsy się na nią obraził? A może najzwyczajniej w świecie uznał, że nic z niej nie wyciągnie, i postanowił zerwać kontakt? Przecież wiedziała, że tak może się zdarzyć, ale wiedziała też, jaką decyzję podejmie, bez względu na to, co zrobi chłopak.

Brakowało jej jego roześmianej twarzy, rozmów i... no właśnie, czego? Tego, że była dla niego kimś naprawdę ważnym?

Komórka dalej milczała jak zaklęta.

Afrykańska noc szczelnie otulała wszystko dookoła i niezależnie od tego, jak bardzo wyteżał wzrok, nie był w stanie zobaczyć niczego, co było dookoła. Leżał na twardej macie i nasłuchiwał. Gdzieś w oddali słychać było wycie kojota, ujadaty psy, a on czuł, jak jego serce wali niczym bębny.

Tęsknił za Anną. Nie miał pieniędzy, by doładować dodatkowy transfer danych w swojej komórce, a przyjaciel, u którego pomieszkiwał i u którego mógł korzystać z Internetu, wyjechał na jakiś czas do starej stolicy, do Abidżanu. Został sam. Wiedział, że da sobie radę, bo przecież nie mogło być inaczej, ale nie miał okazji powiedzieć kobiecie, że przez jakiś czas nie będą mogli ze sobą rozmawiać.

Koledzy wciąż go dopytywali, kiedy przyjedzie jego biała kobieta, a on zagryzał wargę, kiedy naśmiewali się z niego. Bardzo pragnął jej wizyty. Wtedy pokazałby im wszystkim, że jest kimś ważnym, że może coś w życiu osiągnąć. Do tego jej potrzebował. Ona była jego gwarancją dobrego życia, ale nie chciał od niej pieniędzy. Wystarczyłoby, gdyby się tutaj pojawiła, tylko... tylko czy jej obietnice nie były aby czcze?

Pamiętał smutny wyraz jej dużych oczu otulonych gęstą koronką ciemnych rzęs, kiedy spoglądała na niego przez kamerkę internetową. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że trapi ją jakiś wewnętrzny ból, który tylko on może ugasić, ale by mógł to zrobić, musiała przyjechać. On nie mógł dostać się do Europy.

Wyciągnął komórkę, włączył. Blask ekranu oświetlił jego pociągłą, szczupłą twarz. Na ekranie wyświetliła się Anna. Jej zdjęcie ustawił sobie jako tapetę, by za każdym razem, gdy korzysta z telefonu, widzieć jej czarujący uśmiech i zabawne dołeczki w kącikach ust. Poza tym robiło to wrażenie, kiedy

przy kimś odpalał komórkę, a tam widniała biała kobieta o rozmarzonych, migdałowych oczach, alabastrowej skórze i z rudymi lokami, które opadały zmysłowo na twarz, kończąc się gdzieś na wysokości szyi. To była jego kobieta.

– *Viendras tu a moi?*¹ – zapytał.

W pomieszczeniu panowała cisza.

Siedziała na tarasie letniskowego domu swojej przyjaciółki, który ta odziedziczyła w spadku po dziadkach. Wyciągała do słońca swoje długie nogi, które może i nie były specjalnie chude, ale za to nosiły ją pewnie po tym świecie, i rozkoszowała się ciszą. Przed nią marszczyła się w powiewach letniej bryzy błękitna tafla Jeziora Sieniawskiego, na którym gdzieś w oddali płynęły dwa łabędzie. Wokół unosił się zapach skoszonego siana, a śpiew skowronka raz po raz przecinał powietrze. Justyna dała Annie klucze i powiedziała, że zawsze może tu przyjechać, by pobyć w samotności, a tego teraz potrzebowała najbardziej.

Podjęła w swoim życiu kilka ważnych decyzji, które były konieczne, by nie udusiła się we własnym sosie.

– *Désolé, comment se rendre à...*² – powtarzała raz za razem słówka.

W końcu przestała iść na łatwiznę i postanowiła dobrze wykorzystać wolny czas, którego miała zadziwiająco dużo, od kiedy przestała spotykać się z Wojtkiem.

Jej urażona kobieca duma nie pozwalała Annie go wysłuchać. Mało tego! Postanowiła zmienić pracę, byle tylko

1 *Viendras tu a moi?* (fr.) – Przyjedziesz do mnie?

2 *Désolé, comment se rendre à...* (fr.) – Przepraszam, jak dojechać do...

go nie oglądać. Teraz miał wolną rękę, może się uganiać za tą... za kim tylko chce! Na wspomnienie tego w Annie gotowała się krew. Jakaż była głupia! Pozwalała mu się wodzić na nos, uwierzyła w te wszystkie zachwyty, pozornie szczere wyznania... uwierzyła, że może być atrakcyjna i kochana przez faceta, o którym marzyła od dawna. Prawda okazała się o wiele bardziej okrutna. Wystarczyło krótkie nieporozumienie, a on to wykorzystał w perfidny sposób.

Doskonale pamiętała ten dzień, kiedy się rozstali, kiedy dotarła już do swojego mieszkania, siedziała w nim i dygotała. Co zrobiła najlepszego? Jej myśli jak wzburzone fale uderzały w nią z impetem, atakując całe ciało, powodując fizyczny ból. Z powodu lafiryndy Karoliny zostawiła faceta, który ją kochał i którego ona kochała. Tak, to dobre słowo: *l a f i r y n d a*! Nigdy w życiu nie przypuszczała, że będzie w stanie kogoś tak nazwać, a jednak.

– Lafirynda, lafirynda... – powtarzała sobie z dziwną satysfakcją, wyładowując w tym jednym słowie swoją złość i niemoc. To, co się stało, wydarzyło się pod wpływem impulsu.

Właściwie to powinna być jej wdzięczna za to, że umieściła na Facebooku to cholerne zdjęcie, dzięki któremu spadły jej klapki z oczu. To zmotywowało ją do podjęcia kroku, którego by nie zrobiła, gdyby jej relacja z Wojtkiem była sie-lankowa. Tak naprawdę Karolina była tylko pretekstem, ale Anna nie chciała sama przed sobą się do tego przyznać. Kochała Wojtka, jednak od jakiegoś czasu coraz mocniej czuła się ograniczona przez niego w podejmowaniu niezależnych decyzji. Z żalem stwierdzała, że zostaje pozbawiona samodzielności, że nie potrafi dzielić wspólnej przestrzeni z nim, że potrzebuje jakiegoś azylu, ucieczki, niezależności, która była silniejsza od potrzeby miłości. Miłość skazuje nas na

kompromisy, a ona ich nie chciała. Chciała być wolna jak do tej pory, robić, co chce i kiedy chce, bez pytania o zdanie kogokolwiek, bez liczenia się z tym zdaniem. Ale czy wobec tego była to miłość?

– Jestem egoistką – szeptała do siebie z przerażeniem i jednocześnie z satysfakcją. Ma do tego prawo!

Więc dlaczego teraz tak bardzo ją boli własna decyzja? Dlaczego nie potrafi przyznać sobie racji, że słusznie postąpiła? A przede wszystkim, dlaczego nie potrafi powiedzieć Wojtkowi, że musi mieć więcej czasu na oswojenie się z tym, że są razem tak naprawdę i że ona ma inne potrzeby, i chce zachować swoją pełną niezależność? Niezależność potrzebną do tego, by spotkać się z Tomsym...

Uciekła, najnormalniej w świecie dała nogę, żeby tylko się nie zmierzyć z odrzuceniem ze strony ukochanego, żeby nie usłyszeć od niego prawdy o sobie, prawdy, której ona sama jeszcze nie знаła.

Miała wrażenie, że odległa Afryka będzie dla niej azylem. Wystarczająco daleko, by nie czuć lęku przed zranieniem, by odnaleźć sens swojego życia. A Tomsy? Jej internetowa fascynacja? Był początkiem drogi, którą musiała przejść, by doświadczyć samej siebie, by zrozumieć rzeczy dla niej zakryte, by odnaleźć prawdziwe ja i siłę do walki o siebie, o marzenia.

Musiała tam pojechać, by poznać prawdę o sobie.

Im dłużej Afrykańczyk milczał, tym Anna była spokojniejsza, jej myśli płynęły wolniej, a cała internetowa znajomość zaczynała nabierać innego wymiaru. Gwałtowne emocje, które przepełniały ją wcześniej, straciły swoją moc. Tylko jedno się nie zmieniło – chciała go poznać osobiście, przekonać się, że to, co mówił o swoim życiu, nie było kłamstwem, a ona sama nie była naiwną kretynką.

Anna nie chciała już tego rozpamiętywać, ale zwrot wydarzeń spowodował, że odnalazła w końcu w sobie siłę i przeszła za porozumieniem stron do pracy w innym banku. Miała przecież doświadczenie, więc nie było najmniejszego problemu, by zmienić w swoim życiu coś więcej. Postanowiła być konsekwentna w swoich działaniach i dobrze się z tym czuła. Cholernie dobrze. Po raz pierwszy od wielu lat poczuła moc sprawczą swoich decyzji, zachwyciła się wolnością i magią samostanowienia bez lęku o to, co będzie dalej. Chciała rozwinąć skrzydła, chciała podróżować bez ograniczeń – to był tak naprawdę jej cel.

Zeszła ze słonecznego tarasu, by zrobić sobie coś chłodnego do picia.

Jutro miała pojechać do lekarza, by wziąć skierowania na badania i niezbędne szczepienia przeciwko żółtej febrze i żółtaczce. Wolalała to zrobić tutaj, na miejscu, aniżeli szczepić się na lotnisku. Chciała też dopytać lekarza o szczepienie przeciw wirusowemu zapaleniu opon mózgowych i ewentualnie przeciwko malarii.

Z tego, co udało jej się ustalić, szczepienia takie wykonują tylko wybrane punkty w wojewódzkich stacjach sanitarno-epidemiologicznych, a najbliższej Rzeszowa oferował takie usługi Kraków. Tylko to miasto i zaledwie kilka innych było zatwierdzonych przez Światową Organizację Zdrowia, co zaskoczyło Annę, bo wydawało jej się, że szczepienie można będzie wykonać wszędzie. Ale cóż mogła poradzić.

Do wyjazdu miała jeszcze dwa miesiące, jednak wciąż zastanawiała się, czy zakupić wycieczkę przez biuro turystyczne, czy odważyć się na samodzielną podróż. No, może niezupełnie samodzielną, ale...

Wykręciła numer.

– Marcin? Cześć. Tu Anna.

Po drugiej stronie przez moment zaległa cisza sugerująca, że może nie kojarzyć, jaka Anna do niego dzwoni. Ostatni raz rozmawiali jakieś dwa lata temu.

– Ania? – Dopiero po chwili Marcin zorientował się, co do osoby – Ta Ania?

– Tak, ta – roześmiała się. – Już myślałam, że całkiem mnie zapomniałeś, a ja dzwonię w bardzo nietypowej sprawie... – Na moment zawiesiła głos. – Mam dla ciebie propozycję, jak cię znam, to nie do odrzucenia – powiedziała Anna, a mężczyzna po drugiej stronie słuchawki wyżył słuch.

Byli umówieni o siedemnastej pod Kościołem Mariackim na rynku w Krakowie. Anna postanowiła wykorzystać swój pobyt w grodzie Kraka. Marcin mieszkał i pracował w Warszawie, jego praca w branży turystycznej często jednak kazała mu odwiedzać dawną stolicę Polski. W burzliwych czasach młodości poznał wiele zakamarków naszej planety, więc gdy z wiekiem nadszedł czas na ustatkowanie się, jedyną możliwą opcją dla niego było połączenie dwóch w jednym, czyli pasji podróżowania i zarabiania na tym.

Poznała Marcina na jednym z zagranicznych wyjazdów służbowych, kiedy swoim czujnym okiem pilotował wycieczkę na Węgry. Jakoś wtedy przysiadła się do niego i z zaciekawieniem pytała o niuanse kulturowe w kraju Madziarów. Marcin opowiadał, a w jego oczach raz po raz zapalały się iskierki pasjonata podróży, poznawania kultur i obyczajów różnych nacji. Poznała go potem bliżej jako człowieka o szerokim spektrum poglądów na otaczającą rzeczywistość, niezwykle otwartego i nieposkromionego w swoich podróżniczych zapędach.

Przyjechała specjalnie wcześniej. Niby Kraków nie leży daleko od Rzeszowa, to niespełna dwie godziny pociągiem, a jednak niezbyt często tutaj zaglądała. Chciała więc skorzystać z okazji, by rozejrzeć się po starym mieście, odwiedzić *Damę z gronostajem* – jedyne dzieło mistrza Leonarda, które można podziwiać w Polsce w oryginale. Chciała napawać się duchem dawnych czasów, coraz trudniejszym do odnalezienia w jej mieście – stolicy Podkarpacia, która już dawno postawiła na rozwój innowacji oraz nowoczesnej architektury i zaczęła skrywać swe urocze galicyjskie kamieniczki w cieniu nowoczesnych wieżowców. Pragnęła uraczyć oczy wspaniałościami na straganach w Sukiennicach, przepychem zabytkowych kamienic, ujrzeć zionącego ogniem nad królewską Wisłą wawelskiego smoka, którego pamiętała z dzieciństwa. Kiedy już nacieszyła się tymi skarbami, zatrzymała się pod Mariackim w oczekiwaniu na Marcina.

Przycupnęła na jednej z licznych ławeczek ustawionych na granitowej płycie krakowskiego rynku, nieopodal kramów słynnych krakowskich kwiaciarek, i obserwowała masy turystów, wylewające się na rynek z ulicy Floriańskiej, podążające to w stronę Wawelu, to wsiadające w zdobne dorożki, zaprzężone w konie różnej maści, to znikające w renesansowych podcieniach Sukiennic.

Nagle od tyłu ktoś położył dłoń na jej ramieniu.

– Cześć! – Usłyszała radosne powitanie i jednocześnie podskoczyła jak ukłuta szpilką.

– No cześć! Ale mnie wystraszyłeś!

Marcin roześmiał się pełną piersią, ukazując pod starannie przyciętym w stylu Franka Zappy wąsem rząd zębów, okutych metalową klamrą.

– Prostujesz ząbki? – Anna roześmiała się na ten widok.

Czterdziestoletni facet, który w zasadzie niedługo powinien zacząć się martwić o dobrej jakości protezę, postanowił zainwestować w aparat na wyrównanie uzębienia.

– To w takim wieku też takie coś robią? – zapytała, udając naiwną, ale Marcin tylko się śmiał.

– A kto bogatemu zabroni? Spełniam swoje marzenia. Wcześniej nie miałem pieniędzy ani czasu.

– Łał! Czujesz w powietrzu jakiś znaczący, a nieoczekiwany przyływ gotówki. – Mrugnęła do niego okiem.

– Masz ochotę na kawę czy drinka? – zapytał bez ogródek – A może coś byś zjadła?

Anna nie była głodna, alkoholu unikała, ale nie potrafiła odmówić dobrej kawy.

– W takim razie zabiorę cię w miejsce, w którym jeszcze nie byłaś. O nic nie pytaj, sama zobaczysz, to niedaleko.

Marcin porwał ją na Kazimierz, gdzie na ulicy o uroczej nazwie Estera znajdowała się owa kawiarnia.

To prawda, w takim miejscu Anna nie była! „Singer” na Kazimierzu. Nazwa początkowo jej się kojarzyła co prawda z maszyną do szycia, bo pamiętała jeszcze czasy, kiedy prawie w każdym domu były słynne singerki, na których babcie i mamy uprawiały domowe krawiectwo, ale tego się nie spodziewała. Kawiarnia o tej nazwie zamiast stolików miała ustawione stuletnie maszyny do szycia. To było takie... łał! Czego to już ludzie nie wymyślą! Kawiarnia mieściła się w kilku salach narożnej kamienicy na Kazimierzu. W głównej sali pierwsze, co się rzuciło jej w oczy, to piękny drewniany kominek. Ściany były wyłożone wzorzystymi tapetami i na ich tle przemyślnie ustawiono stare meble. Jednym słowem – raj dla jej duszy.

Marcin rzucił okiem i pociągnął ją w kierunku wolnego stolika ze stojącą majestatycznie na środku maszyną Singer.

Anna usiadła i poczuła się jak u mamy, dosłownie! I chociaż mama miała sprzęt Łuczniaka, to mimo wszystko pamiętała, jak zasiadała do nożnej maszyny i próbowała pierwszych ściągów na magicznym urządzeniu.

Już po chwili pojawił się kelner, z uśmiechem równie szerokim jak u Marcina, i przyjął zamówienie: piwo duże i ciemne dla Marcina i nieodzowne latte macchiato dla Anny.

W tle słychać było nienachalną muzykę, a na meblach stały stare świeczniki z zapalonymi świecami, co wprowadziło Annę w zachwyty, który nie uszedł uwadze Marcina. Taki był zresztą jego zamierzony cel.

– Chyba ci się podoba? – To to pytanie było raczej retoryczne i nie wymagało odpowiedzi. – To mów teraz, co to za propozycja nie do odrzucenia.

Anna przez chwilę patrzyła na Marcina, precedzając myśli jak przez sito, by w końcu stwierdzić:

– Nie wiem, od czego zacząć...

– Najlepiej od początku – zachęcił ją.

Nabrała powietrza. W sumie to czego się obawiała? Chyba tylko tego, że jej odmówi.

– Chcę pojechać do Afryki, potrzebuję przewodnika. – Krótko i rzeczowo, tak chyba najlepiej.

Tym razem Marcin patrzył na nią, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Afryka, powiadasz... – Zawiesił głos, jakby ważył jej słowa, swoje możliwości, chęci, czas i milion innych aspektów – A dlaczego tam?

Nie powiedział „nie”. Anna odetchnęła z ulgą. To był dobry początek.

– Prawda jest taka, że mogłabym pojechać przez biuro turystyczne, ale... Po pierwsze, jak policzyłam to dużo drożej

mnie to wyniesie, po drugie moim celem nie jest Afryka sama w sobie.

Marcin nadstawił baczniej ucha. To zaczynało być intrygujące. Patrzył na Annę, jak tym razem w jej oczach błyszczały jakieś niebezpieczne ogniki, jakaś nuta szaleństwa i kurczę! Podobało mu się to!

– Mów daaaalej... – przeciągnął słowo.

Ach ten jego szelmowski uśmiech, który był Annie dobrze znany.

– Chcę odszukać pewnego młodego człowieka, który mieszka na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Nie znam jego adresu, nasz kontakt urwał się jakiś czas temu. Znam tylko jego pełne imię, chociaż nie do końca jestem przekonana, czy prawdziwe. – Anna na moment się zamyśliła. – Wiem, w którym mieście mieszka, i nie jest ono na głównym szlaku turystycznym, ale to duże miasto. Uczę się intensywnie francuskiego, żeby nie być do końca chodzącą lamą. – Roześmiała się. – Ale boję się sama pojechać i nie chodzi o to, że coś złego mnie może spotkać ze strony mieszkańców, ale tak ogólnie, nawet gdybym się rozchorowała albo coś...

– Jesteś szalona! – stwierdził w końcu Marcin i zamilkł.

Kelner przyniósł pięknie spienioną kawę z cudownym cynamonowym serduszkim na środku, postawił przed nią, a piwo przed Marcinem. Podziękowali zdawkowo. W dalszym ciągu panowało milczenie. Anna czuła, jak rośnie w niej napięcie. Właściwie Marcin był jej jedyną opcją, jeśli chodzi o towarzysza tego wyjazdu.

– A kiedy chciałabyś jechać? – Padło pytanie, które było bardzo neutralne, bo w zasadzie niczego nie sugerowało, prócz tego, co mogła sobie wyobrazić Anna.

– Jak tylko ogarnę niezbędne szczepienia, paszport, wizę i jakiś sensowny plan. W zasadzie bardzo dużo zależy od ciebie. – I to była prawda.

Marcin pociągnął łyk piwa, na jego wąsach pozostała piana, którą zaraz otarł serwetką.

– Ode mnie, powiadasz...

Anna czuła, jak jej ręce wilgotnieją, a powietrze w kawiarni staje się zadziwiająco gęste.

– Wchodzę w to! – krzyknął nieadekwatnie do sytuacji Marcin, aż Anna podskoczyła i to bynajmniej nie z radości, ale najzwyczajniej w świecie się przestraszyła.

– Naprawdę? – zapytała, jakby nie tej odpowiedzi pragnęła.

– Naprawdę!
